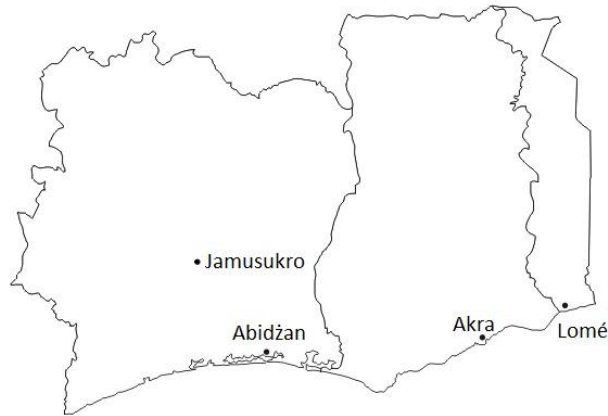




Granica

Wanderlust.pl | podróże i proza

Granica



Akra, Ghana, 21 listopada 2011 r.

Aby dostać się do stolicy z małej wioski przy granicy z Wybrzeżem Kości Słoniowej muszę wstać przed 4 rano. Potem dwie przesiadki, trzy autobusy i koło południa jestem na wielkim piaszczystym placu w centrum Akry z którego odjeżdżają rozkolektane minibusy do ostatniej wioski przed przejściem granicznym z Togo. Siedzę w jednym z gruchotów i patrzę jak powoli zapełnia się po brzegi. W tej części Afryki nie ma pustych miejsc.

Po paru godzinach stoimy w korku na wylotówce z Akry. Jest upał, skwar, w morzu jeżdżących wraków opary gęstych spalin mieszają się z uporczywymi klaksonami i wrzaskami kierowców tworząc ciężki afrykański koktajl zapieczony pod rozgrzaną żarówką popołudniowego słońca. Pomędzy autami krążą kobiety z wypełnionymi owocami misami na głowach oraz młodzi faceci obwieszani tym, co każdemu stojącemu w korku pod afrykańską stolicą jest najbardziej potrzebne: plastikowe zabawki, chińskie gierki, świecidełka. Przesuwane drzwi gruchota nie zamykają się nawet na chwilę, co raz jakiś autokrążca prezentuje zalety swoich zapalniczek i sznurowadeł.

Za kilkadziesiąt pesew kupuję dzisiejszą gazetę. Niechlujne łamanie, krzywe szpalty, całość wygląda jak punkowy zin prosto ze szkolnego xero. Na pierwszej stronie czytam sensacyjną wiadomość, facet zgwałcił konia. Poniżej hejt na uchodźców, „Iworyjczyków” z Abidżanu gdzie niedawno znowu wybuchł konflikt zbrojny pomiędzy zwolennikami Gbagbo i Ouattary po kolejnych już sfałszowanych wyborach (sam już się pogubiłem kto tam teraz rządzi). Dzień jak co dzień.

Wychodzę z gruchota i spoglądam na niekończący się strumień zdezelowanych samochodów, taksówek, minibusów. Stoimy tu już dobre kilka godzin, trudno uwierzyć, że z Akry do Lomé jest niecałe 200 km. Nagle oblewa mnie zimny pot. Ja pierdolę. Przecież tę granicę podobno zamykają codziennie o 18! Jeżeli tak dalej będzie to dojedziemy do niej w środku nocy. A znaleźć się nocą na afrykańskiej granicy to generalnie nie jest dobry pomysł, o czym z resztą przekonałem się już kiedyś przekraczając rzekę pomiędzy Senegalem a Mauretanią.

Czym są wewnątrzafrykańskie granice? Są to takie dworce Warszawa Wschodnia z początku lat 90 w pigułce. Znajdziemy tam wszystko. Przystępczość, narkotyki, prostytutka, przemyt i handel wszystkim czym się tylko da, włącznie z ludźmi. Brzmi jak oferta biura podróży na weekend w Łodzi.

Granica przyciąga jak magnes szemrane towarzystwo z obu stron a niedoinwestowana infrastruktura tylko pogłębia ogólną rozpacz takich miejsc. Na tym małym terenie skupia się śmietanka patologii z obu państw. Czym jest afrykańska patologia? Powiedzmy, że polska patologia mieszkałaby tu pewnie na willowym osiedlu Miasteczko Kapsztadzik gdzieś pod stolicą RPA (ale cały czas z gównianym połączeniem do centrum).

Obok mnie siedzi wielki chłop o twarzy rzeźnika, całym swoim cielskiem przygniatając mnie do przesuwanych drzwi. Przez swoje zmęczone, na wpół opadłe powieki przypomina mi Foresta Whitakera, poprzez tusze bardziej jednak Notoriousa B.I.G. Nie mam wyjścia.

- Sir, wie pan może, czy granica jest jeszcze otwarta? - zagajam błyskotliwie.

- Nie jest.

Woo-hoo! No brawo Grzechu, aż miło popatrzeć z jaką łatwością zawiązujesz nowe przyjaźnie. Nie jest źle, rozmowa zmierza chyba w dobrym kierunku, może coś z tego będzie.

Postanawiam przyatakować po raz wtóry.

- A nie wie pan, czy jest tam może jakiś hotel w okolicy?

- Nie ma.

Kurwa mać. Erudyta. To nie wróży dobrze, wychylam się i zaglądam za cielsko, pamiętam, że siedziała tam jeszcze jakaś grupa kobiet w kwiecistych sukniach i kolorowych chustach. Plan jest taki: jak tylko wysiądziemy z gruchota doskakuję do nich, robię maślane oczy, wyciągam cediki z sakwy i może któraś przekima mnie kątem w swojej chałupie. To nawet nie brzmi najgorzej.

Dwie godziny później jest już zupełnie ciemno a upał nawet teraz nie odpuszcza. Rdzewiak doczłapuje się do jakiejś przygranicznej wioski i zatrzymuje na błotnistej drodze pośrodku tłumu. Jesteśmy na miejscu. Drzwi otwierają się i wnet jak szarańcza dopada do nas morze ludzi sunących z tobołami we wszystkich kierunkach. Kobiety w kolorowych sukniach znikają gdzieś w gęstym tłumie. Smród aż w oczy kole. Grupce kolesi stojących pod pobliskim murem od razu wpadam w oko, przybliżają się do mnie powoli. Znowu wyglądam jak Cygan w pośredniaku.

Same przyjemniaczki. Jeden z mordą porezaną sznytami jak pole Kargula, drugi z zębami jak ogrodzenie przy wiejskiej zabawie. Jeszcze inny bełkocze coś do mnie zaśliniony, gałki oczne wywrócone ku górze, trzymając cały czas foliówkę z benzyną w jednej ręce. Drugiej nie posiada. Cała banda pokryta jest tak bardzo bezużytecznymi przy tej karnacji dziarami-samoróbkami. Próbuję sobie przypomnieć czy moje studenckie ubezpieczenie obejmuje transport ciała do Polski.

Jeden z nich, ze sznytem wiedeńskim albo pozostałością po podciętym gardle to najwyraźniej herszt bandy, mamrocząc wydaje pozostałym piskliwe polecenia. Ważniak, szycha, klecha po kolędzie. Rozpościera chudym poprzypalanym ramieniem wskazując mi brudną, uciulaną szmatę pod obszczanym murem nieopodal, jedyną wolną wśród pozostałych okupowanych przez dogorywających współtowarzyszy, wyglądającą prawie jak łóżko na leczeniu z NFZ. Chodź, zostań z nami, zdrzemniesz się, nic ci nie będzie, przekonuje z wiarygodnością szkolnego dentysty. Zastanawiam się czy jeśli za chwilę zesram się w gacie ze strachu to ich odstraszę, czy tylko zachęcę.

Najgorsze są te uśmiechy. Cyniczne, obleśnie pastwiące się, nawet nie próbujące ukrywać złych intencji. Groteskowe grymasy na zapadłych narkotycznych licach, jakby zło przybrało ludzką twarz. Wszyscy razem wyglądają jak gniazdo szcurków, stado wychudzonych, wygłodniałych, żądnych twoich dóbr brudnych watażków gotowych wbić sobie nawzajem chałupniczą mojkę z kawałka blachy za kilka srebrników, taka rada nadzorcza spółki Skarbu Państwa. Ciekawe czy moje organy przyjmą się u przyszłego nabywcy.

Nagle jeden ze szczurowatych pada obok mnie na pysk. To Forest. Cisnął nim o ziemię niczym rolnik oponą pod Sejmem. Dopiero teraz zauważam, że już mi się zaczął dopierać do plecaka. Forest łapie mnie za ramię i ze skamieniałą, spokojną twarzą rzeźnika-rutyniarza syczy przez zaciśnięte zęby.

- Posłuchaj mnie teraz. Wszyscy ci tutaj to kryminaliści. Wszyscy. Uwierz mi, naprawdę gównu mnie obchodzi co się z tobą stanie, możesz iść za mną albo zostać tu i zdychać jak pies.

Cóż, trudno odmówić tak serdecznemu zaproszeniu. Zarzucam plecak na ramię i zastanawiam się co robić. W życiu każdego przychodzi taka chwila, że musi podjąć decyzję w ułamku sekundy, nie ważne jaką. Kiedy następny, podjęty bez jakichkolwiek racjonalnych bodźców krok może zaważyć o całym przyszłym losie. To właśnie w takich momentach powiedzenie, że życie to sztuka podejmowania decyzji nabiera nie zupełnie nowego, ale jakiegokolwiek znaczenia. A co, jeżeli ci tutaj to tylko złodzieje a Forest to morderca?

Szczurowaci znów powoli mnie otaczają a tymczasem Forest zaczyna się oddalać, przebijając się przez tłum, każąc wszystkim spierdalać i przesuwając na boki wielką łapą. To chyba dobry znak. Ostatni moment, decyzja musi zapaść tu i teraz. „Forest, poczekaj!” słyszę w głowie piskliwy głos małej dziewczynki i idę za nim. Mam wrażenie, że spod półprzymkniętych powiek wyłaniała się jakaś iskra dobroci, płomyk nadziei, co trudno powiedzieć o wywróconych gałkach ocznych chudego ze sznytem i spółki.

Forest sunie przez gęsty tłum niczym węglowa nawałnica. Przy pozostałych tubylcach wygląda jak wracający z szychty wkurwiony górnik wśród śląskich dzieci gdy dowiedział się, że nie dostanie siedemnastki. Schylam głowę i idę postusznie za nim. Morda w kubek i nie zadaję pytań. Jeszcze się rozmyśli i odprowadzi za rączkę z powrotem na pastwę szczurowatych.

Po kilkuset metrach dochodzimy do małego, obdrapanego budynku. W środku pali się światło, w tle widać jakieś szlabany. Forest wchodzi do środka, wita się z siedzącymi przy biurku dwoma umundurowanymi facetami i zdejmuje pęk kluczy z kołka. Prowadzi mnie krótkim korytarzem, otwiera jedne z drzwi i machając głową daje do zrozumienia żebym wchodził.

Po chwili słyszę za sobą zatraskujące się metalowe drzwi i szcęk zamka. W małym pomieszczeniu nie ma prawie nic poza odorem stęchlizny. Kładę się na zimnej posadzce, pod głowę plecak. Wiem, że adrenalina jeszcze długo nie pozwoli mi zasnąć więc wyciągam papierosa i kilka saszetek „dżinu” marki Striker. „Dżin” to lokalny destylowany alkohol wyrabiany z soku trzciny cukrowej, pakowany w plastikowe saszetki po 50 ml, często z nadrukami piłkarzy i umięśnionych facetów, aby zachęcić młodzież do aktywnego trybu życia i konsumpcji. Torba 30 saszetek czyli 1,5 litra cukrowej gorzały – 20 cedi. Przeszczep nerek w cenie.

W księżycowym świetle padającym z małego okienka staram się czytać wydrapane w ścianach napisy w nieznanym mi językach. Mam nadzieję, że nie dokooptują mi żadnego współlokatora, na wszelki wypadek odwracam się plecami do ściany.

Rano budzi mnie ten sam szcęk kluczy i dźwięk otwieranych drzwi. Forest kwinięciem głowy daje mi znak, że doba hotelowa właśnie się skończyła. W wyprasowanym mundurze strażnika granicznego wygląda dużo dostojniej. Wchodzę do biura a na mój widok kilkoro pozostałych strażników uśmiecha się i oznajmia chórem: „Obruni!”

Obruni. To słowo słyszę przez ostatnie tygodnie jak mantrę. Obruni w języku Twi i innych z grupy Akan oznacza „biały”. Po prostu. Czy jest to rasistowska obelga? Chyba nie, raczej dziwnie neutralne stwierdzenie pewnego faktu. Słyszę je codziennie, w autobusie, na ulicy, grupki dzieci wracające ze szkoły zawsze biegną za mną i krzyczą chórkami „Obruni!”. Miła starsza pani u której kupuję wilgotne papierosy wita mnie za każdym razem w ten sposób z szerokim uśmiechem. Zawsze wtedy wyobrażam sobie, że spotykam się z, załóżmy, wieloetniczną grupą studentów ze Stanów i podchodząc do nich wyciągniętym palcem wskazując na twarze niektórych zaczynam wyliczać: „O! Czarny, czarny, i jeszcze jeden czarny”. Ramieniem delikatnie odsuwam dwóch białych studentów a spomiędzy nich wyciągam do pierwszego rzędu kolejnego. „O, a tutaj, tak jak myślałem, żeby nie było wątpliwości, jeszcze jeden – czarny”.

Forest bierze mój paszport, stempluje i wychodzi bez słowa na zewnątrz. Żegnając się z pozostałymi i wychodzę za nim. Ciężkim, zwalistym krokiem mijając potężną kolejkę czekających na otwarcie granicy wchodzi do budynku strażników togijskich. Na jego widok wszyscy pozdrawiają go z szacunkiem, musi być tu znany. Bierze ichniejszą pieczętkę, wbija

stempel i znowu wychodzi. Gwizdem przywołuje młodego chłopaczka świadczącego usługi moto-taxi, bardzo popularny środek transportu w Togo. Ten przybiega pędem.

- Zabierzesz go tam gdzie będzie chciał w Lomé. Żadnych pieniędzy. I żadnych numerów.

Nie wiem jak mam mu dziękować. Chcę go uściskać, sięgam do plecaka po jedną z wojskowych naszywek z polską flagą które wożę ze sobą ale ten tylko macha ręką i tym samym zwałistym, kołyszącym się krokiem odchodzi za szlaban.

Po chwili mkniemy motocyklem po zakurzonej drodze w kierunku Lomé, położonej tuż przy granicy stolicy Togo. Chłopak nagle odwraca się i krzyczy uśmiechnięty.

- Ej ty! Chcesz zobaczyć willę Adebayora?

Mowa, kto by nie chciał? Jedziemy!

**Galeria analogowych zdjęć do opowiadania wkrótce znajdzie się pod adresem:
<http://wanderlust.pl/2017/02/17/granica/>**